

Dojrzała świadomość DORASTANIA

rozmowa z Bogdanem Olewiczem, autorem AUTOBIOGRAFII



rys. Tomasz Borkowski

Kiedy i w jakich okolicznościach powstała Autobiografia?

Autobiografia została zarejestrowana w studio Tonpressu na przełomie wiosny i lata 1982 roku. Napisałem ją kilka tygodni wcześniej. Od Zbyszka Hołdysa dostałem balladę w postaci tzw. rybki muzycznej – długa, opowiadająca fraza, aż prosiła się o jakąś historię. Warstwa muzyczna Autobiografii jest monotonna, nie ma nagłych zwrotów, momentów gwałtownego napięcia, czy kulminacji – czyli idealny nośnik do opowieści.

Większość tekstów piszę na kolanie, w składanym łóżku, na moich 34 metrach płyt, taśm i książek na Pradze. Autobiografia też tak powstała. Nie pamiętam, czy zaczynałem znając całość, czy wyszedłem od jakiegoś fragmentu, który dobrze ułożył się na dźwiękach i wyglądało na to, że będzie go można pociągnąć.

Podstawowym pomysłem była próba zamknięcia w tej historii jakiegoś okresu i doprowadzenie do momentu, w którym rozpoczyna się narracja. W czasie pisania stopniowo odchodziłem od pomysłu historii wspominającej przeszłość. Autobiografia jest przesiąknięta duchem czasu, w którym powstawała. Polska na zakręcie, walka o swobodę działania i demokratyzację życia.

W konsekwencji – stan wojenny i głęboki kryzys polityczny i ekonomiczny. Ustrój państwa się sypał, a ja próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Jak ty dojechałeś do tego momentu? Jak wygląda twój życiorys? W którym punkcie swego życia jesteś i co teraz zrobisz?”.

Próbowałem zbudować groteskowy kontrast: wielkie, dziejowe momenty i osobiste problemy, które nie przystają do kalibru wydarzeń lub okoliczności. W pewnej chwili orientujemy się, że dla dorastającego narratora mają one większe znaczenie niż otaczający go świat, który ulega przemianom. To utwór o dorastaniu, o budzeniu się dojrzałej świadomości.

„Było nas trzech, w każdym z nas inna krew”

O kim jest ta piosenka?

Stanałem przed dylematem, kogo uczynić bohaterem tej piosenki. Siebie? Pisząc piosenkę dla Perfectu chowałem się przecież za zespół, za frontmana. Zastanawiałem się czy jej wykonawca, jako narrator, zdoła wzbudzić zainteresowanie odbiorcy moimi osobistymi przejściami i przemyśleniami. Czy ten tekst będzie w jego ustach wystarczająco wiarygodny? Czy może powinien się tam objawić jakiś wykreowany bohater, z którym słuchacz mógłby się łatwiej identyfikować? Jakiś idol pop-kultury? Ja do tego wizerunku chyba nie do końca pasowałem. Stąd w końcowej części tej piosenki pojawiają się zdarzenia pobrane z życiorysów moich kolegów, w tym Zbyszka Hołdysa, który jest kompozytorem tego utworu. Ze względu na skrótowość formy, powstało coś na kształt komiksu, mini-opowieść pokoleniowego everymana.

Nasza paczka składała się z kilkunastu osób, ale często spotykaliśmy się we trójkę, czwórkę: m.in. Byniek (Zbyszek Hołdys), Mogiel (Andrzej Mogielnicki), Zając (Maciek Zajączkowski) i ja. Każdy z nas miał swój napęd i dążył do realizacji swoich odmiennych celów. Łączyła nas odkrywana literatura i muzyka. Rzucając mu rękawicę chcieliśmy być zauważeni i wysłuchani. Wyluskani z szarej masy, wyciągnięci z bezmiennego tłumu na okładkę kolorowego magazynu. Obiekt westchnień wystrzałowych kociaków. Taki sen pucybuta. A jednocześnie, w podtekście, tak wszechobecna potrzeba bycia akceptowanym i kochanym, bez względu na to czy wychowywało się w pełnej czy uszczupłej rodzinie. Oczywiście, każdy z nas coś pisał. Ale to Andrzej chciał być wielkim pisarzem, chciał powalić świat swoją literaturą, taką przez strzeliste

L. Jak to bywa w życiu, stało się inaczej – dużo tej prozy i wierszy pozostało w szufladach.

Gdyby dziś miał Pan dokończyć zdanie: „Miałem 10 lat, gdy...”? Co z tego czasu pamięta Pan dziś najbardziej? Kiedy miałem 10 lat był 1956 rok. Też była zadyma i zawierucha. Warszawa była miastem bardzo szarym. Mieszkałem na Muranowie. Wokół było jeszcze wiele zniszczeń wojennych. Ruiny to był nasz plac zabaw. Ryliśmy w gruzach szukając naboju i „skarbów”. W moim bloku piwnice miały być bunkrami przeciwatomowymi i były zamykane na drzwi rodem z łodzi podwodnych. Zimna wojna i psychoza ataku z Zachodu. UB i zagłuszana Wolna Europa. Na pierwszych stronach gazet ZSRR i towarzysze z Politbiura. Tymczasem na ulicach demonstracje, strajki, napisy na murach, które zmywał cieć. Myśmy nie rozumieli, co się dzieje. Z kolegami z podwórka wchodziliśmy na dach tego bloku i zrzucaliśmy nasze wodne bomby na trójki milicji ludowej, które patrolowały ulice.



**„Kumpel radio zniósł, usłyszałem Blue Suede Shoes”
Czy Pana pierwszym muzycznym idolem rzeczywiście był Elvis?**

Tak, to jest druga sprawa, którą pamiętam z przełomu lat 55/56. Pani red. Malina Zasadzińska w Muzyce i Aktualnościach odważyła się puścić na antenie Elvisa. To było olśnienie, że można tak grać i śpiewać. Wcześniej latała czasem amerykańska muzyka, ale to były lukrowane szmirowate wycieruchy, nienadające się kompletnie do słuchania.

**„W kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdarł”
A jak reagowaliście na muzykę jazzową?**

Jazz był wyzwoleniem się z kanonu grania w określony sposób. Był modny jak egzystencjalizm. Na nasze potrzeby zbyt chłodny i przeintelektualizowany. Muzyka pokolenia przed nami. Ale kiedy Leopold Tyrmand organizuje w 1956 roku pierwszy festiwal jazzowy to na

plycie Muzy pojawia się sztandarowy Caledonia Rock. A w radio na okrągło jak nie muzyka ludowa, kapela Dzierżanowskiego, zespół mandolinistów, to muzyka klasyczna. To nie tylko smak zakazanego owocu. Nagle pojawia się fantazja, improwizacja, odjazd od schematu. Prędzej czy później musiało być tak, bo człowiek dąży do tego, czego nie może dostać. Ta muzyka, ten rytm i śpiew w tempie karabinu maszynowego – to wszystko nas zahipnotyzowało. Zresztą to samo spotkało następne pokolenie w połowie lat 60-tych, kiedy ruszyła lawina białej, brytyjskiej muzyki rhythm-and-bluesowej, a potem legenda The Beatles i The Rolling Stones.

**„Z gryfu został wiór, grałem milion różnych bzdur”
Umie Pan grać na gitarze?**

Jakiś czas próbowałem, ale ciężko szło. Potem sięgnąłem nawet po basówkę, ale do jej gryfu miałem za krótkie palce. To wszystko wymagało żmudnych ćwiczeń, szczególnie, że miałem gorszy słuch od moich kolegów. A wtedy działo się tyle ciekawych rzeczy, że nie starczało czasu. I w końcu mnie wykopali z tamtej kapeli. I słusznie.

„Mnie paznokcie z palca zszedł”

Granie na której gitarze przypłacił Pan stratę paznokcia? Nie pomnę. Chyba struny były za twarde jak na moje niewyrobite palce. Na zawodowe amerykańskie nie było nas stać. Zresztą jak pamiętam Zbyszek też miał kłopoty z paznokciem. Instrumenty też nie były najlepsze. Z reguły podróbki. Nasz kolega Kuba Weinberg, który po emigracji grał na wiośle m.in. w „Blood, Sweat & Tears”, wielokrotnie misternie kleił swego rozpadającego się akustyka. A Darek Kozakiewicz, dziś grający w Perfekcie, a wtedy mieszkający w kamienicy obok przy ulicy Świerczewskiego, na warsztatach szkolnych w technikum wystrugał sobie kopię akustycznego Gibbsona.

„W mej piwnicy był nasz klub”

Na czym poległ fenomen klubów piwnicznych? Jak one wyglądały?

W naszej paczce nikt nie miał segmentu ani willi. W takich prywatnych przybytkach zbierało się towarzystwo bitników czy egzystencjalistów. Oni byli starsi i już lepiej ustawieni w życiu. Chodzili potańczyć do Stodoły lub na Okrąg. Słuchali modern jazzu, a my parwieniuszowskiego rokendrolla. Mieszkania socrealistyczne były małe i akustyczne, więc każdy dążył do stworzenia własnego kącika, w którym można było puścić głośno muzykę, zaprosić dziewczyny, zrobić prywatkę i wypić tanie wino. Tych pseudoklubów było wiele, większość z oświetleniem z czerwonej albo pomarańczowej bibułki, prymitywnymi sprzętami do siedzenia lub leżenia i obowiązkowym magnetofonem. Innym sposobem tworzenia tam nastroju było malowanie ścian i żarówek w odrutowanych lampach. Po jakimś czasie donosił o tym komitet blokowy, przychodziła milicja, klub zamykano, a my przenosiliśmy się gdzie indziej. U nas w piwnicy przez kilka miesięcy też był klub. Capitol. Zwrznięliśmy nazwę z wytwórni płytowej.

„Alpagi tyk i dyskusje po świt”

Co się najczęściej piło w tych klubach?

Piwo było tanie, ale jakościowo niezbyt dobre, ciężkie alkohole drogie, najczęściej piliśmy wino „pątykiem pisane”. Później, w czasach studenckich, przyrządzaliśmy koktajl zwany małpą, działał bezbłędnie. To była mieszanina taniego spirytusu, wermutu, soku pomarańczowego Dodoni z delikatesów.

„Wójeł Józek zmarł, darowano reszty kar”

Wracając do odwilży. Jak brzmiał tekst w oryginale:

Wójeł Józek zmarł... czy Wiatr odnowy wieł...?

W oryginale był wójeł Józek. Cenzura miała jednak zastrzeżenia. Holdys, który miał układy, poszedł tego bronić, próbował wcisnąć im jakąś ciemnotę, bez skutku. Choć to dziwne, bo w drugiej połowie lat 50-tych, kiedy powstała Polityka, drukowano Solżenicyna i o „okresie błędów i wypaczeń” otwarcie się mówiło. Po referacie Chruszczowa imię generalissimusa Józefa Wissarionowicza przestano wymawiać z wielką czcią. Nie rozumiem, dlaczego, ale w roku 1982 musieliśmy to usunąć.

„Pocztówkowy szal, każdy z nas ich pięćset miał zamiast nowe pary jeans”

Pocztówki rzeczywiście były tyle warte co spodnie?

Kolekcje tak. Po dobre pocztówki jeździło się w Warszawie na róg ulicy Hożej i Marszałkowskiej. Na piętrze była wytwórnia nagrywania pocztówek dźwiękowych. Po pewnym czasie facetowi zabrakło materiałów i przeszedł na czerwone cienkie plastikowe krążki. Zaopatrywaliśmy się u niego, zawsze miał dużo nowych kawalków. Fikcja pocztówki była mu potrzebna, żeby dostać licencję na działalność. Każdy chciał zebrać jak najwięcej modnych utworów. Oryginalne płyty zagraniczne były słabo osiągalne i monstrualnie drogie.

Używanymi płytami handlowało się pod Pałacem Kultury, głównie na corocznych targach książki i prasy. Kiedyś punkt wymiany był jeszcze w Alejach Ujazdowskich. Ponieważ dostępny sprzęt do odtwarzania płyt długogrających był fatalny, płyty te były strasznie zrypane, ale dalej się je wymieniało, aż kończyły swój żywot przetrzynięte igłą jakiegoś Bambino na wylot.

„Poróżniła nas, za jej Poli Raksy twarz”

Kim była dziewczyna o twarzy Poli Raksy, która poróżniła trójkę przyjaciół?

Z twarzą Poli Raksy to lekka przesada. Dziewczyny w tamtym czasie wzorowały się na niej. Zwłaszcza po filmie „Szatan z siódmej klasy”. Tleniły się, podobnie czesały. Na moim osiedlu mieszkała właśnie taka dziewczyna – obiekt marzeń i westchnień podwórkowych amantów i podrywaczy. Żeby jeden drugiego nie wyrolował pilnowaliśmy siebie nawzajem tak skutecznie, że w końcu pojawił się ktoś z zewnątrz i ją wyjął.

„Powiedziała mi, że kłopoty mogą być, Ja jej, że egzamin mam, Odkręciła gaz nie zapukał nikt na czas”

Dlaczego popełniła samobójstwo?

Bo została sama i nie umiała dać sobie rady. To jest już inna historia i inna dziewczyna. Dzisiaj się o tym więcej i bardziej otwarcie mówi. Wtedy to był temat wstydlawy. Powodem mogło być to, że rodziców dziewczyny nie było stać na modny płaszcz, jaki nosiły jej rówieśniczki. To pokazuje, jak istotna jest dla nastolatków potrzeba akceptacji przez grupę.

Z tekstu piosenki wynika chyba, że odkręciła gaz, bo była w ciąży?

Bo była w ciąży. Bo nie było kasy lub było zbyt późno na dozwoloną prawem aborcję. To nic odkrywczego. W okresie dojrzewania człowiek myśli o seksie 300 razy częściej niż 10 lat później. Hormony szalały i nikt nie myślał o skutkach. Każdy chłopak chciał jak najszybciej przestać być prawiczkiem. Przewijało się to w filmach nowej fali lat 60-tych. Nie zawsze towarzyszyło temu głębokie uczucie. „Zaliczenie” i „chodzenie ze sobą” było punktem honoru. I zdarzały się tragedie. Antykoncepcja, edukacja seksualna – to wszystko było jeszcze w powijakach. Komuna się seksu bała albo wstydziła. Sytuacja zmieniła się wskutek rewolucji obyczajowo-seksualnej będącej pokłosiem rewolty dzieci-kwiatów. Przedtem pozostawało wykradanie z księgarni

książek typu „O czym chcą wiedzieć wszyscy chłopcy, a o czym wszystkie dziewczynki”, bo prawdziwej edukacji seksualnej w szkole nie było. Środki antykoncepcyjne typu prezerwatywy, które niczego nie gwarantowały były tematem dowcipów podobnie jak słynne „Globulki Zet” – cała ta sfera jak wstydlivy atawizm objęta była milczeniem.

Czy dziewczyna, która popełniła samobójstwo była dla Waszej trójki kimś bliskim?

Nie. Ten fragment nie mówi o konkretnej osobie. To synteza wielu doświadczeń znanych jak i zasłyszanych. Dojrzewanie to okrutny okres w życiu każdego człowieka. Następuje konfrontacja z prawdziwym życiem i umiera wiele mitów, które stanowiły dotychczas wygodną asekurację.

„W knajpie dla brow klezmer kazał mi grać Takie rzeczy, że jeszcze mi wstyd”

Czy Hołdys grywał u klezmera w konkretnej knajpie?

Chyba nie. W momencie, kiedy kasy brakowało, w Polsce można było z kapelą pojechać w objazd czyli w trasę. Albo do demoludów. I tak Zbyszek jeździł do Rosji, to z Marylą, to z Adrejem i Elizą. Z klezmerem jeździło się na statek albo do Stanów. Na Jackowie podchodził podпиты góral z 20-dolarówką i niemalże przyklejał ją na ślinę do czoła wokalisty, każąc sobie zagrać „Góralu czy ci nie żal?”. No i kapele grały za zielone w Chicago. Grupa będąca protoplastką Perfectu także. Zbyszek to ciężko odchorował. Ale i w kraju było wiele miejsc, w których grywało się rzeczy, których potem było wstyd.

„Słuchaj mnie tam, pokonałem się sam... Otwieram drzwi i nie mówię już nic do czterech ścian”

Dlaczego zakończenie jest takie pesymistyczne? Dlaczego bohater „Autobiografii” mówi, że „przechrapał życie”?

To dwie różne rzeczy i starajmy się ich nie łączyć. Pierwsza to „przechrapanie” w łóżku na wznak”. W świecie cyganerii artystycznej piło się zawsze. Jedni popadali w nałóg, inni rzucali, ograniczali, znajdowali substytut lub dopalacza talentu. Moment otrzeźwienia przynosi z wiekiem m.in. refleksja ile czasu zmarnowało się odsypiając kaca po balangach.

Czy zakończenie jest pesymistyczne? Kluczem staje się stwierdzenie, że „pokonałem się sam”. Jeśli w długiej pogoni za swoim marzeniem stałem się kimś innym, lepszym, pozbawionym charyzmatycznych cech mojej osobowości, które w rzeczywistości były tylko zakamuflowanym stosem wad i fatalnych nawyków, to dla moich przyjaciół lepiej czy gorzej? Odnowiony lepiej panowałem nad emocjami, stałem się bardziej powściągliwy, prawdziwszy, mniej zabawowy – dla otoczenia w sumie bardziej normalny i bezbarwny.

A może, jak to u Sartre'a, osiągnąwszy cel doznajemy rozczarowania, poczucia porażki, a nie

sukcesu. Bowiem siłą napędową tworzenia jest stawianie celów przed sobą i dążenie do nich. To właśnie nas niesie, walczymy o nie, wspinamy się z kamieniem na tę niebotyczną górę. A kiedy już osiągniemy cel tracimy zainteresowanie tym, co osiągnęliśmy. Jako że nigdy nie jesteśmy w stanie przeżyć świadomie pełnej satysfakcji i zadowolenia. Należy wtedy albo powiedzieć sobie pas i coraz bardziej zapadać się w postępujące zgorzknienie, albo dalej szukać, stawiać sobie nowe cele i znów do nich dążyć.

W finale Autobiografii okazuje się, że z chwilą, kiedy artysta dopina swego, sukces go nie cieszy, ogarnia go znużenie i zwątpienie. Woli zamknąć się sam w czterech ścianach, tak jak zamyka się pewien rozdział jego życia. Może owo milczenie jest głębsze, mówi więcej niż wszystkie słowa, które padły. Może rezygnacja z odrywania kuponów od sławy jest większym sukcesem, a może artysta nie ma już nic do powiedzenia.

Trochę to było prorocze w obliczu tego, co stało się z Perfectem rok później, kiedy Hołdys zdecydował się rozwiązać kapelę.

„Tysięczny tłum spija słowa z mych ust, kochają mnie”

A jak Pan się czuje widząc setki czy tysięcy ludzi śpiewające słowa napisane przez siebie?

To szok, dreszcz i ściśnięte gardło. Popularność Autobiografii była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Wydawało się, że jest to nudna ballada, w której ktoś opowiada fragment życiorysu. Nigdy nie myślałem, że to może być jakiś hymn pokolenia. Pokolenie, które zidentyfikowało się z tym tekstem tylko po części miało szansę zaznać atmosfery tamtych czasów. Gdy na koncercie Perfectu cała sala, łącznie z tymi bardzo młodymi ludźmi, nadal śpiewa, to z przekonaniem przeszywa mnie dreszcz i nadochodzi refleksja – jak wiele jest elementów w naszych życiorysach, które muszą się pokrywać.

rozmawiał

Kamil Bono Brzózka

realizuje film dokumentalny o T.Love, absolwent Laboratorium Reportażu (2005)

Bogdan Olewicz

Autobiografia

Miałem dziesięć lat, gdy usłyszałem o nim świat,
W mej piwnicy był nasz klub,
Kumpel radio zniósł, usłyszałem „Blues Sued Shoes”
I nie mogłem w nocy spać.
Wiatr odnowy wiał, darowano reszty kar,
Znów się można było śmiać,
W kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdarł,
I ja też chciałem grać.
Ojciec, Bóg wie gdzie, martenowski stawił piec,
Mnie paznokcie z palca zszedł,
Z gryfu został wiór, grałem milion różnych bzdur
I poznałem co to seks,
Pocztówkowy szal, każdy z nas ich pięćset miał
Zamiast nowej pary dżins,
A w sobotnia noc był Luksemburg, chata, szkło,
Jakże się chciało żyć!

Było nas trzech, w każdym z nas inna krew,
Ale jeden przyświecał nam cel,
Za kilka lat mieć u stóp cały świat, wszystkiego w bród,
Alpagi tyk i dyskusje po świt.
Niecierpliwy w nas ciskał się duch,
Ktoś dostał w nos, to poptakał się ktoś, cos działo się,

Poróżniła nas, za jej Poli Raksy twarz
Każdy by się zabić dał.
W pewna letnia noc, gdzieś na dach wyniosłem koc
I dostałem to, com chciałem,
Powiedziała mi, że kłopoty mogą być,
Ja jej, że egzamin mam,
Odkręciła gaz, nie zapukał nikt na czas,
Znów jak pies byłem sam.

Stu różnych ról, czym ugasić mój ból,
Nauczyło mnie życie jak nikt,
W wyrku na wznak przechrapałem swój czas, najlepszy czas.
W knajpie dla brow klezmer kazał mi grać
Takie rzeczy, że jeszcze mi wstyd,
Pewnego dnia zrozumiałem, że ja nie umiem nic.
Słuchaj mnie, tam, pokonałem się sam,
Oto wyśnił się wielki mój sen,
Tysięczny tłum spija słowa z mych ust, kochają mnie.
W hotelu fan mówi: „Na taśmie mam
To, jak w gardłach im rodzi się śpiew!”
Otwieram drzwi i nie mówię już nic do czterech ścian.

ZAPRASZAMY na Chłodną 25

Każda środa 17³⁰